

Czy przy ul. Daszyńskiego rozstrzeliwano więźniów III Rzeszy i UB?

Tajemnica „ściany śmierci”

Ponad 25 napisów z wrytymi w 5 językach nazwiskami więźniów, często także krzyżami, datami i rodzajem wymierzonej kary, znaleźć można na murze spacerniaka dawnej siedziby gestapo w Legnicy przy ul. Daszyńskiego. 17 listopada obiekt wpisano do rejestru zabytków.

Bartłomiej Rodak

Ten kawałek ceglanej ściany, pełnej także nieregularnych wyżłobień sugerujących ślady po kulach, stanowić może świadectwo męki więźniów przetrzymywanych tu w czasie II wojny światowej. Starania o ochronę prawną czynił IPN ze względu na niewątpliwie wartości historyczne i naukowe prawdopodobnego miejsca kaźni.

Czy jednak pod legnickim murem rzeczywiście wykonywano wyroki śmierci? Czy ściana skrywa ponurą tajemnicę? Do tej pory historycy z wrocławskiego oddziału Instytutu Pamięi Narodowej nie odnaleźli dowodów potwierdzających taką hipotezę.

Prokurator Sebastian Kujacz z Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu wskazuje jednak na taką możliwość. Jednym z argumentów uwzględnionych przy rejestracji zabytku było stanowisko śledczego. Zwrócił on uwagę na historię masowej ucieczki więźniów z dwóch obozów jenieckich w Żaganu i Świętoszowie w marcu 1943 r. Śledczy twierdzi, że część uciekinierów po złapaniu stracono w Legnicy i sugere-

ruje, że inni skazańcy też mogli być rozstrzelani w areszcie policyjnym przy ul. Daszyńskiego.

PO DRODZE DO GROSS-ROSEN

Z ekspertyzy przygotowanej przez wrocławski IPN wynika natomiast, że napisy na murze dotyczą więźniów III Rzeszy, którzy znaleźli się w tym miejscu jako aresztanci oczekujący na przesłuchanie. Najwcześniejszy odczytany napis pochodzi z 25 marca 1943 r., najpóźniejszy z 1 stycznia 1945 r. Na ceglanej liście znaleźli się m.in.: Aleksiej Maksimow, Ivan Zubkow, Vlasta Roslerova, Sawczenko z Dniepropietrowska, Józef Stasicki z Żywca, Marija Gurtowaja. Marfa Raymond, Robert Raymond, Marusia, W. Trychbowicz z Tomaszowa Mazowieckiego, Alphonse Frey, Bogdan W., Bronisław Lichota. Historycy IPN przekonują, że byli to robotnicy przymusowi i jeńcy komand pracy. Placówka policji bezpieczeństwa kierowała ich za różne przewinienia do obozów pracy wychowawczej, obozów koncentracyjnych lub skazywała na śmierć. Wydrapywanie napisów na murach miało być charakterystyczne dla nazistowskich aresztów śledczych,

gdzie ludzie w okropnych warunkach beczynnie czekali na przesłuchania.

– Wygląd tej ściany może wskazywać, że było to miejsce egzekucji, tyle tylko, że nie ma żadnych dokumentów ani relacji, które mogłyby to przypuszczenie potwierdzić – zauważa dr Krzysztof Szwaagrzyk z wrocławskiego IPN. – Areszt był prawdopodobnie miejscem przejściowym wysyłki więźniów do różnych obozów, nie miejscem eksterminacji. Położenie w centrum miasta blisko domów mieszkalnych zdaje się potwierdzać taką teorię.

OSTATNI PODPIS W ŻYCIU

Jedynie, jak podkreśla historyk, co można stwierdzić z całą pewnością, to fakt, że w tym miejscu podczas wojny więziono Rosjan, Niemców, Ukraińców, Polaków, Czechów i Francuzów. Wielu z nich, ryjąc w ścianie swoje imię i nazwisko, podpisało się po raz ostatni w życiu. Dlatego to miejsce, stanowiące świadectwo zdarzeń związanych z II wojną światową, należy zachować i upamiętnić. Niestety, właściciel, który w dawnym areszcie zamierzał urządzić apartamentowiec, a na ponurym podwórzu wyburzyć wszelkie zabudowania, nie był zainteresowany ochroną obiektu. W efekcie cegły w ubiegłym roku wpisano do rejestru jako zabytki ruchome. O tym, że mur jest już zabytkiem nieruchomym, historyk IPN-u dowiedział się od nas.

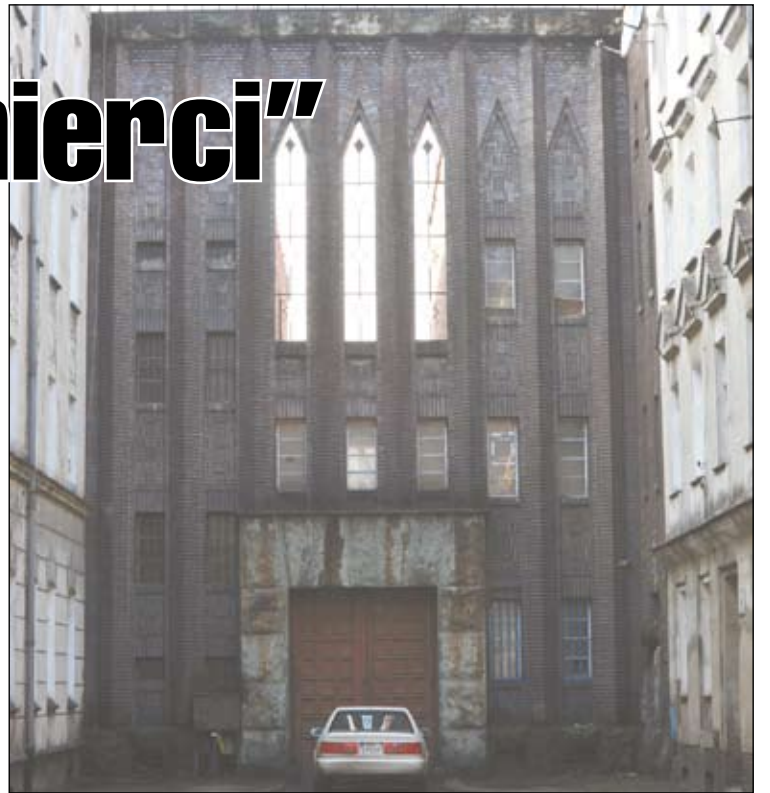
– Nic o tym nie wiedziałem, ale to dobra wiadomość i bardzo mnie cieszy – mówi zaskoczony Szwaagrzyk.

– Jest to miejsce o znaczeniu historycznym, a jako takie powinno być chronione – wyjaśnia Ewa Kica, zastępca Dolnośląskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków we Wrocławiu. – Ale wpisaliśmy mur do rejestru także dlatego, żeby ustrzec go przed rozbiórką planowaną przez właściciela.

KARA ZA MIŁOŚĆ

Jedyną żyjącą do dziś Polką, która delegaturę gestapo przy ul. Daszyńskiego obserwowała od środka, jest 87-letnia legniczanka Halina Wolska. Na wschodnie ziemie Rzeszy dotarła jednym z pierwszych transportów z robotnikami przymusowymi.

– Do Liegnitz trafiłam 2 lutego 1940 r. z łapanki w Piotrkowie Trybunalskim – wspomina. – Zamknęli mnie rok później za to, że zakochałam się z wzajemnością w synu gospodarza, u którego pracowałam w Wilkowie. Ta pierwsza w życiu miłość kosztowała mnie pięć tygodni aresztu, bo pewnego dnia przyjechało trzech gestapowców i zabrali mnie do Legnicy na Feldstrasse (ul. Polna, obecnie Daszyńskiego – przyp. red.). Z moim ukochanym już nigdy się nie zobaczyłam, bo za karę wcielono go do kompanii karnej i wysłano na front wschodni.



Miejsce kaźni

Areszt projektu Paula Oehlmana, ukończony w 1930 r., to wzorcowy przykład gotycyzującego ekspresjonizmu. Początkowo mieścił się w nim komisariat policji, w latach 30. pełnił także funkcję policyjnej izby zatrzymań, a w czasie wojny – delegatury gestapo. Po 1945 roku zajęli go funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, a następnie przeszedł na własność kolei. Od dwóch lat nieruchomość jest w prywatnych rękach.

Projektant budynku wydłużone prostokątne okna osadził w wysokich ostrołukowych niszach oddzielonych od siebie trójkątnymi nadokiennikami. Trzy środkowe arkady są w górnej części przerwane, gzyms wieńczący podtrzymuje filigranowe żąbkowane zwieńczenie z metalu. Brama obramowana monumentalnymi kamieniami ciosowymi z granitu wskazuje jako „architecture parlante” (architektura mówiąca, rodzaj wizualnej retoryki) na niemożność ucieczki z więzienia.

W 2008 r. budynek wpisano do rejestru zabytków, ale ta decyzja wciąż nie jest prawomocna. Jak mówi Ewa Kica, zastępca Dolnośląskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków we Wrocławiu, właściciel wciąż się odwołuje, więc można spodziewać się odwołania także w sprawie zabytkowej już ceglanej „ściany śmierci”.

Budynek aresztu z góry na dół był pełen więźniów – kontynuuje legniczanka.

– W celi, w której przebywałam z trzema kobietami, żelazne prycze w ciągu dnia były składane i nawet nie można było usiąść. Przesłuchania odbywały się w głównej siedzibie gestapo mieszczącej się wówczas w zamku. Grozili mi, że skończę w Oświęcimiu, że mają dowody na mój romans z Konradem, ale ja uparcie do niczego się nie przyznawałam. Bałam się, bo dwa razy w tygodniu z Feldstrasse odchodziły transporty z więźniami do obozu Gross Rosen. Za podobny romans z polskim przymusowym robotnikiem wywieziono tam nawet Niemkę będącą w ciąży. Ja miałam więcej szczęścia. Podczas któregoś przesłuchania gestapowiec powiedział, że bym niczym się nie martwiła i jeżeli będę trzymać język za zębami, to wyjdę w najbliższy czwartek. Potem spalił w piecu rzekome dowody mojej winy. Przypuszczam, że przekupił go mój gospodarz z Wilkowa. Po uwolnieniu skierowano mnie do Arbeitsamtu (urząd pracy – przyp. red.), gdzie dostałam nowy przydział pracy, tym razem w Kunicach.

Jak wspomina pani Halina, przy ul. Polnej najczęściej przetrzymywano niemieckich więźniów politycznych. Podtrzymuje opinię, że nie wykonywano tam egzekucji, a areszt był jedynie miejscem przejściowym, często dla osób już wcześniej skazanych na śmierć. Jej burzliwe losy stały się jedną z inspiracji scenariusza sztuki legnickiego teatru

pt. „Wschody i zachody miasta”, zrealizowanej w 2003 r.

SPRAWA MIĘDZYNARODOWA

Trzy lata wcześniej odkryto w Legnicy rzekomą „ścianę śmierci”. Badacze z IPN-u wiele lat próbowali potwierdzić dalsze losy ludzi, których nazwiska udało się odczytać na murze. Przed ponad dwoma laty poinformowano nawet konsulaty i ambasady poszczególnych państw, aby podjęły próbę dotarcia do rodzin swoich obywateli więzionych w Liegnitz. Mimo że placówki te wyraziły zainteresowanie, do dziś niczego nie ustalono.

– Jednym z naszych celów było doprowadzenie do uznania muru za zabytek i to się udało – nie kryje satysfakcji dr Krzysztof Szwaagrzyk. – Pamiętajmy jednocześnie, że to nie jest sprawa ani miejska, ani też regionalna, ale międzynarodowa. I dlatego zależy nam na wyjaśnieniu jej do końca. Tym bardziej że na obszarze naszego działania, czyli na Dolnym Śląsku i Opolszczyźnie, nie ma drugiego takiego miejsca.

Dziś wciąż do końca nie jest pewne, czy na ul. Daszyńskiego mordowano ludzi, czy też nie. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek uda się ustalić. Jednak ślady w murze pozostawione wymęczonymi dłońmi wielu więźniów są niewątpliwie świadectwem ich męki, a ich zbiorowy międzynarodowy autograf cierpienia, jest jednym z nielicznych zachowanych tego typu śladów nazistowskiej zbrodni.



– Grozili mi, że skończę w Oświęcimiu. Bałam się, bo dwa razy w tygodniu z Feldstrasse odchodziły transporty z więźniami do obozu Gross Rosen – wspomina Halina Wolska, która od 1940 r. do końca wojny przebywała na robotach przymusowych.